

DOMINIKA  
HAJS

Dylogia Players #2

# PLAYERS' DEAL



Rebelle 

WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Dominika Hajs  
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde  
Leszno 2026

All rights reserved  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:  
*Justyna Szymkiewicz*

Korekta językowa:  
*Ewa Woźniak*

Korekta po składzie:  
*Jolanta Szalak, Kamila Polańska*

Przygotowanie okładki i oprawa graficzna:  
*Justyna Knapik @hermetycznie\_zamkniete*

Skład i przygotowanie ebooka:  
*Michał Bogdański*

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-81-4

*Rebelde*   
WYDAWNICTWO


DOMINIKA  
HAJS

Dylogia Players #2

# PLAYERS' DEAL



Rebelde ♡  
WYDAWNICTWO



*Dla tych, którzy wiedzą, że do miłości trzeba dojrzeć.  
I dla tych, którzy potrafią dać drugą szansę.  
Nie tylko innym, ale także sobie.*

# Prolog

Podświadomie zawsze czułam się samotna. Od kiedy tylko pamiętałam, nie było przy mnie nikogo. W szkole podstawowej i liceum trzymałam się raczej na uboczu. Dopiero na studiach próbowałam wyjść ze swojej skorupy.

Zaczęłam więc udawać, że jestem całkowicie wyluzowana. Problem polegał na tym, że za cholerę mi to nie wychodziło. Usiłowałam grać przed znajomymi pewną siebie – nie wyszło. Zamykałam się na życie, choć wciąż brałam udział w grupowych projektach. Byłam idealną uczennicą, prymuską na Uniwersytecie Dakoty Północnej. W oczach studentów stałam się symbolem wielozadaniowości i przede wszystkim osobą, która nigdy nie odmawia pomocy. Kimś, kto nie potrafi postawić granic.

I to mnie zniszczyło.

Pod fasadą szczęścia byłam tak naprawdę zupełnie innym człowiekiem – młodą, złamaną dziewczynką. Każdego ranka budziłam się z nadzieją, że to dziś odejdzie uczucie, które miażdży mi serce. Dosłownie tak, jakby ktoś wsadził dłoń w moją pierś i zacisnął ją na delikatnym organie. Potem wstawałam z łóżka. Chodziłam, mówiłam, jadłam. Wdychałam w płuca hausty powietrza, które nijak miały się do oddychania. Były ledwie jego namiastką, potrzebną

do podtrzymania funkcji życiowych. Bo wewnątrznie czułam się martwa.

Trwałam w zawieszeniu. Otępiającym stanie, kiedy czekałam na rozwiązanie lub zakończenie czegoś. Tym czymś były ból i miłość.

Tego pierwszego chciałam się pozbyć choć na chwilę, a drugiego już nigdy więcej nie czuć.

Los bywa jednak przewrotny. Cieszyłam się, że zawarłam układ, który pozwolił mi nie tyle odzyskać, ile poznać smak prawdziwego szczęścia. Bo to dzięki temu ponownie się do siebie zbliżyliśmy.



# Rozdział 1

## Ridge

Wciąż nie mogłem uwierzyć, że mi się udało. Spełniłem swoje marzenie.

Stałem na środku lodowiska i rozglądałem się po arenie. Mogła pomieścić prawie dwadzieścia tysięcy osób. Na myśl, że właśnie tylu kibiców przyjdzie obejrzeć kolejny mecz za tydzień, skręcał mi się żołądek.

Kochałem hokeja. Kiedy wychodziłem na лёd, nakręcała mnie wrzawa. Podczas gry skupiałem się tylko i wyłącznie na czarnym krążku. Odsuwałem inne myśli na bok, nie mogłem się rozpraszać.

Jednak po wszystkim zawsze tu wracałem. Sam.

Koledzy z drużyny rozjeżdżali się do domów lub barów, żeby oplakiwać przegrane albo świętować wygrane mecze. Tymczasem ja trafiałem z powrotem do opustoszałego United Center i... czekałem. Nie wiedziałem na co. Może na cholerne przebaczenie samemu sobie.

Minęły już dwa lata, a ja dalej nie do końca pogodziłem się z tym, jakim torem potoczyło się moje życie po *jej* odejściu. Nie potrafiłem nawet w myślach wypowiedzieć imienia mojej eks. Najzwyczajniej

w świecie nie byłem tego godzien. Ta kobieta stała się moją świętością, radością, wytchnieniem od pędu życia.

Powoli zapominałem, jak wyglądała. Nadszedł moment, w którym wspomnienia zaczynały blaknąć, a my, zamiast wyrobić nowe... przestaliśmy istnieć. Tak po prostu. W głowie niczym niszczycielskie tornado wirowały mi mgliste obrazy oczu, włosów, piegów, w uszach wibrowało wspomnienie głosu i śmiechu. Trafiłem do osobistego piekła.

Jeden dzień. Jedna rozmowa. Jedna minuta, a nawet sekunda.

Dwa pęknięta serca.

I po wszystkim.

Usiadłem na łodzie, nie zważywszy na to, że zapewne jak już wstanę, będę miał mokry tyłek. Wpatrywałem się w plastikowe krzeselka z tylko jedną myślą. *Mogła na nich siedzieć. Gdybym nie był taki uparty, dumny i głupi, mogłaby właśnie na nich siedzieć.*

Nie wiedziałem, ile czasu minęło. Pół godziny? Godzina? Dwie? Cztery? Nie miało to żadnego znaczenia. Chociaż powinienem cieszyć się z drużyną, że tego wieczora wygraliśmy, nie umiałem wykrzesać z siebie krzty radości. Zrzuciłem na swoją osobę klątwę, kiedy się z *nią* rozstałem. Miałem już nigdy więcej nie znajdować przyjemności w moim ulubionym sporcie zespołowym, bo wciąż przypominał mi o tym, co bezpowrotnie utraciłem.

– Rivers? Co tu robisz o tej porze? – Marty Withlock stał przy wejściu na łód. Patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi. Tak bardzo przypominał mi Grady’ego, że momentalnie zatęskniłem za przyjacielem.

Wciąż mieliśmy kontakt, choć grał dla Nowego Jorku. Spotykaliśmy się po wspólnych meczach, a w przerwach między sezonami wybieraliśmy się na wypad z Liamem i Daxem.

Tylko Cameron całkowicie się od nas odciął i nie mogłem go za to winić. Ostatni rok jego – teraz już – żony był trudny. Przeze mnie. Straciła najlepszą przyjaciółkę, bo popełniłem głupi błąd.

– Musiałem pomyśleć – odparłem, po czym wstałem. Otrze-  
pałem jeansy i zszedłem z lodowiska. – A ty? Czemu wpadłeś tutaj  
o tej godzinie? – Nawet nie wiedziałem, którą już wybiły zegary. Po  
ciemności za oknami jedynie się domyślałem, że było bardzo późno.

Marty zaczerwienił się i potarł nerwowo kark.

– Mam... randkę – wykrztusił wreszcie, na co w duchu się zdzi-  
wiłem.

Na zewnątrz pozostawałem zdystansowany, beznamiętny.

Zaprosiłem na randkę tylko jedną kobietę w swoim życiu. Skoń-  
czyło się to katastrofą, więc całkowicie wykasowałem ten zbiór liter  
ze swojego słownika.

– Baw się dobrze. – Uścisnąłem ramię kolegi i wyszedłem, bo  
nie chciałem mu przeszkadzać.

Hokeiści często zapraszali swoje partnerki na arenę, żeby pokazać  
im, gdzie pracują i co potrafią. Te wszystkie zakochane pary... Rzy-  
gałem serduszkami, naprawdę. Wiedziałem, że wynikało to jedynie  
z czystej zazdrości, bo sam zniszczyłem kogoś, z kim mogłem coś  
takiego przeżywać. Dzielić się wygranymi i przegranymi. Podnosić  
na duchu i być podnoszonym na duchu. Kochać i być kochanym.

Dojazd do domu zajął mi dużo więcej czasu niż zwykle. Zajecha-  
łem po zarcie na wynos z przekonaniem, że Blake opróżnił lodówkę  
do ostatniego okruszka. Na studiach mieszkałem z czterema hokei-  
stami i już wtedy był problem, żeby ją dobrze zaopatrzyć. Teraz  
dzieliłem przestrzeń z wielkim futbolistą, byliśmy we dwóch, a jed-  
liśmy za dziesięć.

Potem wpakowałem się w korek. Ludzie ruszyli po zapasy do  
supermarketów. W radiu mówili, że nad Chicago nadciąga potężna  
burza śnieżna. Ponoć połowa Wschodniego Wybrzeża została spa-  
ralizowana po jej przejściu. Pogodynki jednak uspokajały, że zanim  
nawałnica dotrze do naszego miasta, będzie już rozproszona i nie  
aż tak bardzo groźna, jak mogłoby się wydawać.

Westchnąłem więc ciężko i sam podjechałem po jakiś prowiant. Dodatkowo kupiłem trzy zgrzewki wody i paczkę baterii oraz świeczki. Jak to mówią – przezorny zawsze ubezpieczony. Nawet jeśli nie wystąpią problemy z dostawami prądu, nie chciałem ryzykować.

Drzwi do apartamentu otworzyłem kilka godzin po zakończonym meczu. Oczywiście na samym wejściu potknąłem się o kartony. Blake powoli zaczynał pakować swoje rzeczy. Miał w końcu przenieść się z partnerką do nowego lokum. Zacząłem zarabiać tyle, że nie przeszkadzało mi mieszkanie samemu. Stać mnie. W dodatku cieszyłem się ich szczęściem.

Margot Bellamy była naprawdę wyrozumiała dla mojego kumpla. Wykazał się większą inteligencją niż ja i opowiedział jej o wszystkim z wczesnego czasu. Niczego ani nikogo nie udawał, tak że dla kobiety nie było zaskoczeniem, że jej bielizna znajdowała się w domu bractwa.

Czasami siadałem i zastanawiałam się, czemu *ona* nie mogła mi wybaczyć, tak jak Margot Blake'owi. Wtedy dochodziłem do wniosku, że to zupełnie dwa różne przypadki. Wybranka kumpla nie miała takich przeżyć i traum z byłym jak *ona*.

Przeszedłem przez salon. Skrzywiłem się z niesmakiem. Wszędzie wałały się ubrania i puste butelki po wodzie mineralnej. Miałem zamiar to posprzątać zaraz po jedzeniu. W żołądku mi burczało, od rana nie miałem niczego w ustach, a przecież musiałem teraz dbać o sylwetkę.

Łokciem nacisnąłem włącznik światła. Rzeczy do hokeja rzuciłem niedbale na podłogę w przejściu, a papierową torbę z zakupami położyłem na blacie wyspy kuchennej. Drzwi lodówki na ogół były wolne od wszelkich „ozdób” typu magnesy czy kartki. Teraz jednak dostrzegłem na nich wiadomość od współlokatora.

*Jestem u Margot. Zjadłem twojego kurczaka, wybacz. B. x*

Całuski na końcówkach liścików zostawiał z przyzwyczajenia. Wiedziałem to, bo takie same pisał dla swojej narzeczonej, kiedy u nas nocowała. Życzył jej wtedy miłego dnia i dodawał inne bzdety, które robili zakochani.

Zgniotłem papier w dłoni, po czym wrzuciłem go do kosza na śmieci. Wciągnąłem przywiezione jedzenie, a następnie, zgodnie z postanowieniem, posprzątałem cały salon. Wszystko idealnie poukładałem, wytarłem kurze i umyłem podłogę. Do sypialni tego skurczybyka nie miałem zamiaru się zapędzać. Bałem się, co mogłoby mnie tam czekać.

Jakiś czas później poszedłem pod prysznic z nadzieją, że gorąca woda rozluźni obolałe mięśnie. Dupek z przeciwnej drużyny wcisnął mnie kilka razy w bandę, przez co cały bok przyozdobiony został różnej wielkości siniakami. Finalnie zrozumiałem, że ma do mnie jakiś problem, więc zdjąłem rękawice i zaczęliśmy się bić na środku lodowiska. Obaj dostaliśmy karę, ale trener nie wygłosił reprimendy. Poklepał mnie tylko po ramieniu, kazał wykorzystać te kilka minut na zaczerpnięcie oddechu.

Wieczór miałem zamiar spędzić przy jakiejś tandetnej grze na konsoli. Niestety, nie było mi to dane. Dzwonek do drzwi rozbrzmiał tuż po tym, jak usadziłem zadek na skórzanym fotelu.

Tylko jedną osobę mogło nieść o tej godzinie. Tym bardziej że nie odbierałem od niego telefonów ani rano, ani wieczorem. Nie miałem ochoty na kolejne gadki umoralniające o tym, że powinienem bardziej dbać o swój wizerunek.

Uwielbiałem swoich fanów. Zawsze przystawałem, robiłem sobie z nimi zdjęcia, podpisywałem się im, gdzie chcieli, i chwilę rozmawiałem. Jednak Nelson oczekiwał ode mnie więcej.

Nacisnąłem klamkę i wpuściłem go do środka bez słowa przywitania.

– Ridge. – Zrzucił wełniany płaszcz z ramion. – Musimy porozmawiać.

Przewróciłem oczami, czego nie był w stanie zobaczyć, bo ruszyłem już z powrotem do salonu. Mógł co najwyżej mówić do moich pleców. Albo wejść mi w dupę, co często robił, próbując namówić na jakieś idiotyczne pomysły.

– To naprawdę ważne. – Dreptał za mną niczym zagubiony szczeniaczek.

– Co tym razem wymyśliłeś? – zapytałem bez zainteresowania.

– Propozycja super wywiadu. Możemy na tym nieźle zarobić i trochę podrasować twój wizerunek w mediach. – Zaczął wyciągać z aktówki jakieś papiery. Próbował wcisnąć je w moje dłonie, ale się odsunąłem. – Możesz powiedzieć, co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Ignoruję cię? – Sarkazm przebiegał się przez każdą sylabę wypowiedzianego pytania.

– Tyle zdążyłem zauważyć. Bardziej chodziło mi o to, co ty, do diabła, wyprawiasz ze swoim życiem? – Złapał się pod boki, zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem.

– Daj spokój, Nelson. Nie jestem dziś w nastroju na głupie przepychanki – mruknąłem, po czym sięgnąłem po butelkę wody, którą zostawiłem na stoliku.

Jednym ruchem wyrwał ją z moich rąk. Odstawił plastik na szklany blat między nami.

– Ten wywiad to nie była prośba.

Uniosłem brew w wyzywającym geście.

– A ktoś mnie do niego zmusi?

– Prezes zarządu Chicago Blackhawks.

No dobra, tu mnie miał. A raczej powinienem rzec – zaintrygował mnie.

– Co ma prezes do mojego medialnego wizerunku?

Agent jęknął w przestrzeń.

– Nie mów, że muszę wyjaśniać ci tak banalne sprawy! – Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, na co uśmiechnąłem się kącikiem ust.

Nie pamiętałem, kiedy śmiałem się tak naprawdę, głośno i szczerze. Było to gdzieś w zamierzchłych czasach, kiedy jeszcze... Kiedy miałem jakiś cel w życiu. I kogoś, kto ten uśmiech wywoływał.

– Musisz. Po to cię zatrudniłem – odpowiedziałem, w pełni skupiając na nim uwagę.

Wiedziałem, że dopóki tego nie zrobi i nie powie, czego chce, nie wyjdzie i nie da mi świętego spokoju, którego teraz pragnąłem. To nie tak, że polubiłem się z samotnością. Zdawałem sobie jednak sprawę z czego wynikała. Z pokorą przyjmowałem konsekwencje złamania *jej* serca.

– W porządku. – Zakasał rękawy koszuli, jak gdyby szykował się na wielkie starcie. W ostatnich miesiącach rozmowy ze mną mogły coś takiego przypominać. Zatrzymał dłonie na wysokości swojej twarzy, jakby trzymał w nich piłkę. – Słuchaj uważnie. Dla Hawksów nie jesteś tylko kolejnym graczem. Masz być medialny, brać udział w akcjach charytatywnych i godnie reprezentować nazwę, którą nosisz na koszulce. Rozumiesz?

Zaśmiałem się pod nosem w szyderczy sposób. *Wszystko to, czego kiedyś żądali ode mnie rodzice. A ponoć miałem się od nich uwolnić.*

– I co zmieni ten jeden wywiad? – dopytałem zrezygnowany.

Za cholerę nie chciałem gadać o swoim życiu z żadnym marnym dziennikarzyną. Z pewnością ktoś w końcu dokopie się do historii mojej rodziny i zaczną o to wypytywać, a ja pomimo tylu lat wciąż nie potrafiłem o tym mówić. Zresztą, nie obchodziły mnie plotki pismaków. Nie czytałem ich, nie oglądałem wiadomości, z wyjątkiem tych sportowych.

– Po pierwsze, zarząd się od ciebie odczepi, przynajmniej na jakiś czas. Po drugie, rozmowa będzie pośrednio dotyczyła najbliższej gali charytatywnej. Zbiorą tam pieniądze na rozbudowanie akademii sportowych w biedniejszych dzielnicach miast na Wschodnim Wybrzeżu.

Zastanowiłem się przez chwilę. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli się nie zgodzę, zawiodę prezesa klubu. Czy tego chciałem? Oczywiście, że nie. Postanowiłem sobie, że już nikt nigdy się na mnie nie przejedzie, a granie dla Chicago Blackhawks od zawsze było moim marzeniem. Nie mogłem tego koncertowo spieprzyć.

*Nie, gdy zapłaciłem tak wysoką cenę, żeby tu być.*

– Kiedy ma być ten wywiad? I gdzie?

Nie zależało mi, żeby brał to za pewnik, choć w mojej głowie klamka już zapadła.

– Jutro. Może być nawet tutaj. Magazyn wysła swojego pracownika. – Rozejrzył się po przestrzeni. – Musielibyśmy tu tylko trochę ogarnąć. Mogę zadzwonić do firmy sprzątającej, żeby przyjechali w południe. Pasuje ci?

Ostatnie, czego chciałem, to wpuścić do swojego mieszkania jakąś obcą osobę. Z innej zaś strony lepsze to, niż jak sam miałbym się fatygować gdzieś do centrum miasta. Tym bardziej że zapowiadali cholerną burzę śnieżną.

A jeszcze z kolejnej perspektywy – nie rozumiałem, o co mu chodziło. Wysprzątałem tego dnia cały bałagan, którego sprawcą był Blake. Ekipa sprzątająca mogła co najwyżej ułożyć pudła współlokatora, żeby nikomu nie wadziły. No i ewentualnie wejść do jego sypialni, bo ja w dalszym ciągu nie miałem zamiaru tego robić. I szczerze wątpiłem, żeby dziennikarz tego oczekiwał. Raczej nie będę z nim robić tournée po swoim domu.

– W porządku. O której będzie ten wywiad? I ile osób przyjedzie z tego magazynu?

– Dla twojego komfortu załatwiłem, że będzie jedna. Nie potrzeba nam więcej widowni, kiedy będziesz odpowiadał na pytania – odparł spokojnie.

– Będziesz przy tym?

– A chcesz, żebym był?

Odpowiedź przyszła, zanim zdążyłem się dobrze zastanowić:

– Nie.

Cóż, od zawsze szybciej działałem, niż myślałem.

– Więc będziesz ty i dziennikarz. A kilka dni później zrobimy zdjęcia do tego artykułu.

Zmarszczyłem brwi skonsternowany słowami agenta.

– O tym nie było mowy – zauważyłem z przekąsem.

*Jestem hokeistą, do cholery, czy modelem?*

– To idzie w pakiecie – powiedział z szerokim uśmiechem, po czym opuścił mój apartament.

A ja znów zostałem sam z demonami przeszłości.

## Rozdział 2

### *Bambi*

Nadciągała burza.

Powietrze przecinały odgłosy głośnych grzmotów. Niebo jaśniało raz po raz za sprawą błyskawic. Śnieg zaczął pod kątem, zmieszany z marznącym deszczem.

Nawałnica nie miała nic wspólnego z letnimi zawieruchami – te były oczyszczające, temperatura nieco spadała i dało się w miarę normalnie oddychać. Tymczasem burza śnieżna niosła ze sobą zapowiedź czegoś złego. Na samą myśl, że znów coś poszłoby nie po mojej myśli, krew zamarzała w żyłach.

Obiecałam sobie, że mój pierwszy wywiad będzie sukcesem. Odpowiednio się do niego przygotowałam – przejrzałam cały życiorys wschodzącej gwiazdy muzyki pop, prześledziłam wszystkie skandale z udziałem tego człowieka, zapisałam interesujące mnie kwestie na kartce.

I co?

Jedno wielkie nic.

W ostatniej chwili wszystko zostało pozmieniane, a redaktor naczelny gazety oznajmił mi, że mam się udać pod wskazany przez niego adres, bo jakiś genialny pan sportowiec zgodził się w końcu

na rozmowę. Moją fuchę dostała Laura, a ja pojechałam za Benjamina, który utknął w zaspie śnieżnej poza miastem.

Miałam cichą nadzieję, że śnieg wszedł mu tam, gdzie nie dociera światło słoneczne.

Nie miałam pojęcia, dlaczego szef tak postanowił. Mogłam się jedynie domyślać, o co chodziło. Laura nie dość, że dłużej pracowała w magazynie, to mieszkała zdecydowanie bliżej centrum. Spokojnie dotarłaby do domu przed załamaniem pogody. Za nic w świecie nie zgodziłaby się jechać gdzieś dalej. Natomiast ja musiałam pokonać taksówką pół godziny drogi z Roseland do Gold Coast, ale byłam młodsza stażem, więc nie miałam nic do gadania.

Szanse na to, że zdążę do swojego ciasnego mieszkanca przed zamiecią, praktycznie nie istniały.

Czekałam pod luksusowym apartamentowcem na wiadomość od George'a, mojego pracodawcy. Przesępowałam niespokojnie z nogi na nogę. Stres zjadał mnie z każdą minutą coraz bardziej. Powinnam już dostać od niego spis wszystkich potrzebnych mi informacji i pytań, jakie przygotował Ben. Miałam niewiele czasu, żeby się z nimi zapoznać. Tak naprawdę tylko szybko bym je przeczytała, a potem pozostałaby improwizacja.

Pociągałam czerwonym z zimna nosem, obserwowałam biegnących w popłochu ludzi. Wszyscy szukali schronienia, jakby co najmniej nadchodziło tornado. Zaczęłam się zastanawiać, czy w prognozie pogody nie zaszły jakieś zmiany.

Telefon zawibrował w kieszeni. Weszłam pod daszek, żeby osłonić ekran przed białym puchem. Zdjęłam rękawiczkę z dłoni i przejechałam po nim palcem. Zignorowałam pierwsze powiadomienie od Prestona. W ciągu ostatnich dziesięciu dni dostałam od niego mnóstwo wiadomości z prośbami.

**Preston:** Porozmawiajmy, proszę.

**Preston:** Nie możesz tak tego wszystkiego rzucić w ką.

**Preston:** Jesteś mi potrzebna.

**Preston:** Zawarliśmy umowę, Bambi.

**Preston:** Wróć do domu.

Dzisiejsza różniła się od poprzednich tym, że w końcu otwarcie mi zagroził.

**Preston:** Zadzwonię do Roberta.

Prychnęłam pod nosem. Mój ojciec nie mógł już niczego zrobić wobec zaistniałej sytuacji. Owszem, obiecałam mu coś w zamian za pomoc dwa lata temu, ale byłam gotowa oddać Robertowi wszystko, co do centa, nawet jeśli oznaczało to wzięcie kredytu. A potem powiedzieć, żeby spieprzał z mojego życia.

Nigdy nie zmusi mnie do małżeństwa z kimś, kogo nie kocham. Właśnie tego oczekiwał – że poślubię Prestona. Pochodził z zamożnej rodziny, a Robert Jackson chciał utrwalić współpracę swojej firmy z korporacją rodziców „mojego narzeczonego”.

Byłam tylko środkiem do celu, co w porę dostrzegłam. Obudziłam się w końcu z letargu, odrętwienia, tego cholernego zawieszenia. Jednego dnia zakładałam pierścioneł z pieprzonym diamentem na palec, a drugiego pakowałam walizki i wyjechałam do Chicago, gdzie kilka tygodni po odbyciu stażu udało mi się dostać pracę w tutejszym oddziale Fusion.

Tak naprawdę dopiero co ukończyłam studia. Tylko uczelnia w Chicago miała miejsce, żeby mnie przyjąć po mojej ucieczce z Grand Forks. I tak zawałam semestr. A potem przeniosłam się do Los Angeles i tam schrzałam drugi raz, chociaż za to winę ponosiło moje załamanie nerwowe.

O nie z kolei obwiniałam dwóch byłych chłopaków. Głównie hokeistę. Dupek zabawił się mną i zmiądzzył moje uczucia. Choć tamtego feralnego dnia powiedziałam, że mu wybaczam, nigdy tak naprawdę tego nie zrobiłam. Chciałam jedynie, żeby mógł ruszyć dalej, a doskonale wiedziałam, że czasami brak przebaczenia jest jedynym, co trzyma nas w miejscu.

Weszłam w konwersację z szefem. Po przeczytaniu imienia i nazwiska mój mózg dostał zawieszki. Nastąpiło zwarcie tak wielkie, że nie potrafiłam się ruszyć. Drgnęłam dopiero, kiedy uświadomiłam sobie, że stoję pod *jego* apartamentem.

Ridge Rivers.

Mój największy koszmar.

Moja bolesna przeszłość.

Miłość, o której nie potrafiłam zapomnieć.

W duchu błagałam Boga, żeby okazało się to tylko zbieżnością osób i nazwisk, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Mój błąd, że nie zapytałam, o jakim sportowcu była mowa. Prawdopodobnie już wtedy połączyłabym kropki. Przecież marzył o graniu dla Chicago Blackhawks. To dlatego mnie zostawił.

Bo jego przyszłość była ważniejsza ode mnie. Miał się skupić na sobie, na hokeju, a potem... No cóż, potem wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót.

Potrząsnęłam głową. Nie, los na pewno aż tak by sobie ze mnie nie zadrwił. Kliknęłam załącznik, żeby zobaczyć zdjęcie. Telefon niemal wypadł mi z rąk, kiedy dojrzałam *te* twarz. Do tej pory nawiedzała mnie w snach, nie dawała o sobie zapomnieć.

Przymknęłam na moment powieki. Zacisnęłam palce wokół urządzenia.

*Mysł. Mysł. Mysł. Mysł.*

Musiałam się jakoś z tego wykaraskać. Nie istniał cień szansy, żebym dała radę przeprowadzić wywiad z moim eks. A w szczególności

z *tym* byłem. Oglądanie go z odległości? Żaden problem. Rozmowa w cztery oczy? Wykluczone.

Wybrałam numer redaktora. Odebrał po trzech sygnałach.

– George Langford, w czym mogę pomóc?

Jak zwykle pewnie nie spojrzął, kto dzwoni. Przecież miał mój numer. Przewróciłam oczami.

– To ja, Bambi – powiedziałam na jednym wydechu, a gęsta para uleciała z moich płuc.

Schowałam wolną dłoń do kieszeni puchowej kurtki.

– Co się stało? Jesteś już na miejscu? A może mam poinformować pana Riversa, że się spóźnisz przez burzę? – zapytał spokojnie, choć wiedziałam, że to tylko pozory.

Cholernie mu zależało, żeby mieć wywiad z tym konkretnym sportowcem. W innym wypadku by to odwołał ze świadomością, że mogłam gdzieś utknąć przez nawałnicę.

Zazgrzytałam zębami. Intensywnie się zastanawiałam, co mam powiedzieć swojemu pracodawcy. Stwierdziłam, że może tym razem szczerść mi popłaci.

– Nie dam rady tego zrobić. Przecież wiesz, że to przez niego przeniosłam się do Chicago i zawałam dwa semestry. Po prostu... nie potrafię spojrzeć mu w oczy – wymamrotałam skruszona.

Było mi źle, że musiałam odmówić swojego pierwszego zlecenia. Zdawałam sobie jednak sprawę, że gdybym się zgodziła, z moją psychiką byłoby jeszcze gorzej. Chociaż zdołałam postawić się na nogi i czerpałam przyjemność z życia, wszystko wciąż pozostawało we mnie wrażliwe, delikatne.

Nie chciałam zniszczyć tego, co udało mi się w sobie odbudować.

Nigdy też nie kryłam się z tym, co *on* mi zrobił. Nie rzucałam personaliami, bo nie miałam zamiaru nikogo oczerniać, tym bardziej że zostawiłam tego kogoś w przeszłości. George był jednak dla mnie momentami jak ojciec, dlatego się przed nim otworzyłam.

– Słuchaj, Bambi. – Wyobraziłam sobie, jak właśnie zdejmuję okulary w grubych oprawkach i grzbietem dłoni przeciera zroszone potem czoło. – Rozumiem twoją sytuację, naprawdę. Wiesz o tym. Jednak decyzja, żebyś przeprowadziła ten wywiad, nie należała do mnie.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie? Myślałam... myślałam, że to ty... – wyjąkałam nieskładnie. Nawet nie potrafiłam dokończyć pytania.

Z ust mężczyzny uleciało ciężkie westchnienie.

– Niestety, Laura ma wtyki u dyrektora generalnego. Polecenie wyszło z samej góry, więc oboje musimy się dostosować do tej sytuacji. Myślisz, że świadomie wpuściłbym cię w takie bagno?

Opuściłam bezwiednie ramiona. Nie było niczego, co George mógłby zrobić w tej sytuacji.

*Jak ja nienawidzę Laury.*

– Dobrze. Rozumiem. – Za cholerę nie rozumiałam. – Postaram się to zrobić. Najwyżej padnę na zawał w środku wywiadu i będziesz zbierał moje zwłoki. Adres znasz.

– Dziecko drogie! – krzyknął oburzony. – Nawet nie mów takich rzeczy. To bluźnierstwo. Całe życie przed tobą i nie padniesz na żaden zawał. Wiesz dlaczego?

Wyczuwałam, że teraz był czas na umoralniającą gadkę.

– No dawaj.

– Bo nie dasz się swojej przeszłości. Wyrządziła ci wystarczająco szkód i zabrała zbyt wiele czasu. Przypomnij sobie, ile dni spędziłaś na płaczu i składaniu roztrzaskanego serca z powrotem w całość. Wiesz, że nigdy więcej do tego nie dopuścisz – powiedział ostrym tonem, jakby mnie karcił. – Oddzielisz też życie zawodowe od prywatnego, jak profesjonalistka.

Do tego było mi akurat jeszcze daleko, ale – by nie skłamać – słowa szefa podniosły mnie na duchu.

Przez chwilę jeszcze doradzał, w jaki sposób poprowadzić to spotkanie. Nie mogłam dać się stłamsić ani wejść w jakąś polemikę. Miałam zadać pytania przygotowane przez Bena, a potem najwyraźniej w świecie podziękować, uścisnąć rozmówcy dłoń i wyjść.

Banalnie proste.

Albo i nie.

Zakończyłam połączenie. Śnieg padał tak gęsto, że ledwo widziałam auta zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Weszłam do środka budynku.

Hol przywitał mnie marmurowymi podłogami, złotymi dodatkami i ochroniarzem na recepcji. Głupio mi było nawet otrzepać buty na wycieracze. Obawiałam się, że mogła zostać wykonana z jakiegoś drogiego materiału i ją zniszczyć. Tak, wycieraczkę do butów.

Nieźle mi odwalilo, a to wszystko za sprawą zdenerwowania.

Mimo tego delikatnie ostukałam na niej obuwiu, żeby pozbyć się nadmiaru śniegu. Zdjęłam czapkę i rękawiczki, a kurtkę rozpięłam. Ciepło zaczynało w przyjemny sposób rozgrzewać zlodowaciałą skórę.

– Dzień dobry. Przyszłam na wywiad do pana Ridge’a Riversa.

Ochroniarz nawet nie zapytał o moje nazwisko. Po prostu podał mi kartę do windy i powiedział, gdzie mam się kierować.

Szłam jak na ścięcie. Bałam się, że nie wyjdę z tego budynku taka sama. Spotkanie z Ridge’em po dwóch latach mogło okazać się moją klęską.

Z innej strony, minęło tyle czasu... Na pewno już ruszył do przodu i o mnie zapomniał. Byłam przecież tylko chwilową rozrywką, głupim zakładam. Być może nawet nie będzie pamiętał mojego imienia.

Taki obrót wydarzeń byłby mi na rękę. Mogłabym udawać, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, że nie był dla mnie kimś ważnym, o kim nigdy już nie zdołam zapomnieć. W końcu oddałam mu

częstkę siebie. Wtedy dałabym radę przeprowadzić wywiad, a następnie wyjść z budynku i ponownie zostawić Ridge'a w przeszłości.

Tam było jego miejsce. Nie miał prawa do mojej teraźniejszości i przyszłości.

Żołądek zacisnął mi się z nerwów, kiedy wsiadałam do windy. Nigdy nie zaobserwowałam u siebie klaustrofobii, ale dziś ściany żelaznej puszkii dusiły i przyprawiły o zawroty głowy. Oczywiście wiedziałam, że wynikało to z nadmiernego stresu.

Zacęłam się pocić.

Zdjęłam szalik oraz kurtkę. Droga na trzydzieste dziewiąte piętro dłużyła się w nieskończoność. Jechałam i jechałam, a myśleć mogłam jedynie o tym, że zaraz znów *go* zobaczę.

Mimo całej otoczki naszego rozstania ciekawiło mnie, co mogło się w nim zmienić. Zdjęcie, które dostałam od George'a, na pewno nie zostało wykonane w ostatnim czasie. Wyglądał na nim jeszcze trochę jak student, a nie dorosły mężczyzna. Wiedziałam przecież, że się rozwinął. Żałowałam, że w ramach kary za ból, którego mi przysporzył, nie został uwieczniony w szpakowatym ciele.

Wytarłam mokre od potu dłonie o materiał czarnej spódnicy. Nagle zaczęłam się zastanawiać nad swoim ubiorem. Doszłam do wniosku, że nie był odpowiedni. Wyglądałam, jakbym się dla niego wystroiła, a przecież miałam spotkać się z gwiazdą muzyki pop.

Moje życie to cholerny bałagan.

W końcu, po całej wieczności, drzwi windy się rozsunęły. Wyszłam na korytarz wyłożony bordowym dywanem. Czulałam się, jakbym trafiła do jakiegoś cholernego muzeum. Krótki obcas skórzanych kozaków sięgających za kolano zatopił się miękko w wykładzinie.

Rozejrzałam się, ale dostrzegłam tylko wyjście przeciwpożarowe i drzwi z numerem, który podał mi ochroniarz na dole.

Świadomość tego, co miało się zaraz stać, uderzyła we mnie ze zdwojoną mocą. Cofnęłam się o krok, mocno zaczerpnęłam powietrza. Zatrzymałam wdech na dłużej w płucach i tak, jak radziła mi moja terapeutka, powoli go wypuściłam. Odliczyłam w myślach kilka sekund. Powtórzyłam czynność parę razy, aż dłoń zaciśnięta w pięść się rozluźniła.

*Dam radę. Między nami gorzej już być nie może.*

Poprawiłam krańce czarnej koszuli, ponownie wcisnęłam ją za pasek spodnicy. Wyglądziłam materiał z przodu, po czym pewnym krokiem ruszyłam przed siebie. W duchu żartowałam, że może podświadomie wybrałam taki kolor, by raz na zawsze pogrzebać swoją przeszłość.

Zbliżałam się do wejścia, a nogi z każdym krokiem zaczynały coraz bardziej wiotczeć. Odwaga ulatywała w zastraszającym tempie, choć starałam się jej kurczowo trzymać.

Zanim zapukałam do drzwi, przez dłuższą chwilę po prostu stałam w miejscu i się w nie wpatrywałam. Pierścionek zaręczynowy wciąż ciążył mi na palcu.

*Dlaczego go nie zdjęłam?*

Odpowiedź była banalnie prosta – nie czułam się bezpiecznie z myślą, że Robert i Preston w każdej chwili mogliby się dowiedzieć, gdzie mieszkam, przyjechać i zobaczyć nagi palec. Wciąż się obawiałam, do czego mnie zmuszą. I w jaki sposób to zrobią. Gdy ojciec się zorientuje, że zerwałam zaręczyny, zrobi z mojego życia piekło. Do tej pory obaj nie wiedzieli, gdzie przebywałam.

Tata żył świadomością, że tkwiłam zamknięta w willi Prestona.

Preston zapewne sądził, że wróciłam do taty.

Tymczasem rozpoczęłam nowe życie. Jednak żeby w pełni rozkwitnąć, musiałam stawić czoła swojej przeszłości, która wyciągała po mnie pazury.

Zmusiłam się do ruchu. Dłoń odbiła się od drewnianej powłoki.

Drzwi otworzył mi mężczyzna, którego włosy na bokach przyprószyła siwizna.

– Dobry wieczór. Przyjechałam na wywiad z magazynu *Fusion*. – Wystawiłam do nieznajomego rękę, którą uścisnął. – Nazywam się Bambi Jackson.

– Dobry wieczór, Bambi. Jestem Nelson West, agent Ridge’a Rivera, z którym będziesz rozmawiać.

Odsunął się na bok, gestem zapraszając mnie do środka. Pierwsze, co zobaczyłam, to przerażona twarz mojego eks chłopaka.



## Rozdział 3

### Ridge

Była tutaj. W moim mieszkaniu. Dwa kroki ode mnie. Na wyciągnięcie ręki.

*Cholera. Cholera. Cholera.*

Zganiłem się w myślach. Potrzebowałem zaczerpnąć głębszego wdechu, ale się bałem. Co jeśli nie pachniała już tak samo? A co, jeśli zapach pozostał ten sam i znów odurzyłby moje zmysły? Z całych sił próbowałem zachować się normalnie. Udawałem, że nie stała przede mną kobieta, której roztrzaskałem serce na miliony drobnych kawałeczków. Gdy odpadały, poraniły także moje.

Bo okropnie za nią tęskniłem.

Nelson przerzucał między nami niepewnym spojrzeniem. Nic dziwnego. Napięcie w powietrzu nagle wywindowało. Wystarczyła iskra, żeby w pomieszczeniu wybuchł prawdziwy pożar.

Przełknąłem głośno ślinę, kiedy zrobiła krok i weszła do środka. Agent przestał istnieć. Wiedziałem, że uważnie nam się przyglądał. To po mojej minie dało się wywnioskować, że coś było nie tak. Bambi utrzymywała na twarzy maskę opanowania i profesjonalizmu.

Pełne wargi wykrzywiła w uśmiechu. Fałszywym. Znałem ją na tyle, że byłem w stanie stwierdzić to po pierwszym rzucie oka.

Mogła zmienić się cała, w swoim zachowaniu czy wyglądzie, ale pewnych nawyków nie udało jej się wyplenić.

– Pójdę już – przerwał ciszę Nelson. Zwrócił się do Bambi: – Mam nadzieję, że zdążycie przed nadejściem nawałnicy. Dobrze by było, żebyś dotarła bezpiecznie do domu.

W końcu wykonałem jakiś ruch. Zerknąłem za okno, gdzie dostrzegłem śnieżycę i błyskawice przecinające niebo. *Cudownie.*

Drzwi trzasnęły, co oznaczało, że mężczyzna wyszedł. Przełknąłem głośno ślinę. Zostaliśmy sami. Miałem wrażenie, że atmosfera gęstnieje z każdą mijającą sekundą.

Powoli obróciłem się w jej stronę i stanąłem jak wryty. Nie zdjęła swojej maski. Staliśmy tak naprzeciw siebie. Minuty mijały, traciliśmy czas na obserwowanie zmian, jakie w nas zaszły. Jedyne, na co miałem ochotę, to wcisnąć nos w jej włosy i zaciągnąć się ich wonią. Pragnąłem, żeby owinęła wokół mnie swoje jeszcze drobniejsze niż kiedyś rączki, żebym mógł poczuć się jak w domu. Nigdy więcej tego nie doznałem i brakowało mi tego.

Serce wybijało szaleńczy rytm, gdy liczyłem piegi na jej nosie i policzkach. Było ich zdecydowanie więcej, niż zapamiętałem. Nie zmieniało to jednak faktu, że pozostała tak samo piękna.

Chociaż nie.

Była tysiąc razy piękniejsza.

– Lepiej zacznijmy, panie Rivers – mruknęła posępnie, po czym ruszyła w głąb apartamentu, prosto do salonu, który znajdował się tuż przed nami.

Najpierw zadrzałem na dźwięk zachrypniętego głosu. Miałem ochotę paść na kolana i błagać, żeby nigdy nie przestawała do mnie mówić.

A potem zrozumiałem, co powiedziała.

*Panie Rivers? Co, do chuja?*

Zajęła miejsce na fotelu. Taktyczne posunięcie. W ten sposób miała pewność, że nie usiądę obok niej na kanapie. Nie miałem zamiaru naruszać przestrzeni osobistej Bambi. Nie zrobiłbym tego, bo najzwyczajniej w świecie nie zasługiwałem na jej towarzystwo. To, że właśnie znajdowała się w moim mieszkaniu graniczyło z cudem.

Usiadłem więc naprzeciwko. Dzielił nas niski, szklany stolik. Rozłożyłem luźno nogi, chociaż żyły na dłoniach aż powychodziły na wierzch przez skrywane w środku emocje. Ona z kolei wyjęła z torby dyktafon i podkładkę, do której przyczepiona była kartka. Założyła nogę na nogę. Doznałem *déjà vu*.

Przypomniałem sobie dzień, w którym udzieliłem jej pierwszego wywiadu na studiach. W moim pokoju. Już wtedy kryłem się za grubą powłoką kłamstw. Nasz związek rozpadł się tak szybko, że nigdy nie opowiedziałem jej, o kim tak naprawdę wtedy mówiłem.

– Kiedy zdał pan sobie sprawę, że hokej to coś więcej niż hobby? – Uporczywie wpatrywała się w papier.

Mocniej zacisnąłem palce na skórzanym obiciu. Specyficzny dźwięk został zagłuszony przez grzmot za oknem.

– Na studiach – odparłem beznamiętnie.

Śpięła się nieznacznie, a po chwili zaczęła zapisywać moją odpowiedź. Przecież nie musiała tego robić, skoro używała pieprzonego dyktafonu. Mogła na mnie popatrzeć. Wiedziałem, że nie zasługiwałem na wiele, ale gdybym dostał chociaż tyle, jedno spojrzenie, byłbym usatysfakcjonowany.

– A coś więcej? Może jakieś wydarzenie pana ukształtowało?

Nie odpowiedziałem. Wpatrywałem się w jej sylwetkę spod przy-mrużonych powiek. Ściągnąłem także brwi w konsternacji.

Ona jednak się nie zatrzymała. Pytała dalej:

– Jaki był najtrudniejszy mecz w pana dotychczasowej karierze?

*Między głupotą a zdrowym rozsądkiem.* Nie powiedziałem tego na głos. W gruncie rzeczy to nic nie odpowiedziałem. Po prostu się

w nią wpatrywałem, a moja klatka piersiowa z każdą sekundą unosiła się coraz szybciej.

Bambi brnęła dalej:

– Jak wygląda pana typowy dzień?

*Próbuję oddychać. Uczę się żyć. Staram się codziennie wstawać rano z łóżka, choć nie mam ku temu żadnego powodu. A wszystko to usiłuję robić, ignorując ogromny ból w piersi.*

Cisza. Przez moje gardło nie chciało przecisnąć się nawet jedno słowo. Nie zwróciłem uwagi na fakt, że nie zadała żadnego pytania dotyczącego gali charytatywnej, o której wspominał Nelson. Kompletnie mnie to nie interesowało.

– Czy ma pan jakieś rytuały, przesady przed meczem?

Cały dygotałem. Spiąłem każdy mięsień w ciele, jakbym czekał na atak fizycznego bólu.

*Mam tylko po. Siadam na łodzi i myślę, co by było, gdybyś była tutaj ze mną. Wspominam wszystkie chwile spędzone w twoim towarzystwie.*

Po raz kolejny zatrzymałem tę myśl dla siebie.

– Jakie cechy charakteru pozwalają panu odnosić sukcesy na łodzi? Dąży pan po trupach do celu czy jest pan raczej wyznawcą gry fair play?

*Och, dobry Boże. To się zamienia w vendettę.*

Ściągnąłem łopatki, mocniej wbiłem plecy w oparcie fotela. Nie przestawała. Ciągnęła tę farsę, nie bacząc na moją bierną postawę.

– Jakie ma pan zainteresowania poza hokejem?

*Wyobrażanie sobie, że niczego między nami tak koncertowo nie spierdoliłem.*

– Gdzie widzi pan siebie za dziesięć lat?

Czułem się niekomfortowo. Irytacja jej beznamiętnym zachowaniem osiągnęła apogeum. Światła w salonie zamigotały w tym samym momencie, w którym udało mi się wydusić:

– Przestań. Po prostu, kurwa, przestań.

Podniosła wzrok. Brązowe tęczęwki prawie w całości zostały pochłonięte przez rozszerzone źrenice. Niby wyglądały tak samo jak dwa lata temu, a jednak inaczej. Brakowało w nich iskry, którą sam zgasilem tamtego feralnego dnia. Ziały bezdenną pustką. Na moich ramionach ukazała się gęsia skórka.

Uśmiech spelzł z ust Bambi.

– Zadaję pytania zgodnie z tym, co zostało przygotowane przez mojego kolegę z redakcji – oznajmiła ostrożnie, przy czym mocniej zacisnęła palce na długopisie. – Nie moja wina, że nie jest pan skory do rozmowy.

– Pan? – wyszczałem z pogardą. – Tym dla ciebie jestem? Obcym człowiekiem?

– A jak mam cię traktować? – Rzuciła podkładkę na stolik. Światło zamigotało kolejny raz. Potrafiłem jedynie się cieszyć, że wykrzesła z siebie krztynę prawdziwych emocji, nie tylko obojętność. – Jakby nic się nie stało?

– Więc lepiej udawać, że się nie znamy? – zapytałem z przekąsem. – Byliśmy sobie kiedyś bliscy, Bambi. – Jej imię w moich ustach zabrzmiało dziwnie przyjemnie. Zupełnie tak, jakby zdrętwiały język obudził się do życia.

Od dwóch lat nie miałem ochoty na konwersacje z nikim. Wymieniałem raptem kilka zdań i czułem się potwornie zmęczony. Uciekałem przed ludźmi, byle tylko dali mi święty spokój. Potrzebowałem ciszy, samotności.

Dziś jednak pragnąłem, żeby Bambi Jackson mówiła. Powinna wykrzyknąć mi w twarz wszystkie żale, oszczerstwa. Miała prawo nawet na mnie napluć, gdyby chciała. Zasłużyłem na to.

A jednak nie robiła tego. Siedziała spokojnie, spoglądając na mnie z nikłym zainteresowaniem.

– „Kiedyś”, słowo-klucz. Zostawiłam cię w przeszłości, gdzie twoje miejsce, i oddzieliłam grubą kreską od terażniejszości. Nie ma już niczego, co by nas łączyło. Jesteś mi zupełnie obcy – odpowiedziała

na pozór spokojnie, choć głos na końcu wywodu zdrzął niebezpiecznie.

Sekundy przed tym, jak całkowicie wysiadł prąd, dostrzegłem na jej palcu pierścionek z cholernym diamentem.

Prychnąłem w ciemność. Nie mogłem się jednak opanować i po chwili odchyliłem głowę na oparcie fotela. Zacząłem się głośno śmiać, ale brakowało w tym radości. To było... desperackie, bolesne.

– Zaręczyłaś się?

W czerni nocy kompletnie niczego nie dostrzegąłem, nawet nie skierowałem swojego wzroku w stronę miejsca, które zajmowała.

Ciszę przerywały głośne świsty wiatru wytworzonego przez zamieć śnieżną.

– To nie... – Zawahała się na moment. – To nie twoja sprawa.

Chciałem, żeby to była moja sprawa. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. W moich snach to ja byłem tym, który wsuwał jej ten zasrany pierścionek na palec. Marzyłem o tym wiele razy, gdy wyobrażałem sobie, że nasz związek potoczył się innym torem. Wieczorami, kiedy zamykałem oczy, snułem wyobrażenia alternatywnej rzeczywistości.

– Przez dwa lata nie potrafiłem spojrzeć na nikogo innego w taki sposób, jak na ciebie, a ty mi mówisz, że to nie moja sprawa?

Wstałem powoli z miejsca. Po omacku kierowałem się w stronę komody, żeby wyjąć stamtąd świeczki. Kroki rozbrzmiewały echem po chłodnym pomieszczeniu. Temperatura drastycznie spadała. Miałem nadzieję, że właściciel budynku zdoła włączyć zapasowe generatory, choć i one miały ograniczony czas działania.

– Niczego to między nami nie zmienia. Wciąż pozostajemy parą nieznajomych. – Ledwie zdołałem usłyszeć jej szept.

Nie skomentowałem tego. Tkwiłem na granicy wytrzymałości. Przez tyle czasu marzyłem o ponownym spotkaniu z nią, a gdy w końcu do niego doszło... Zrozumiałem, że bezpowrotnie ją straciłem.

Sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby nie miała na palcu pierścionka zaręczynowego. Planowała ślub, a ja nie mogłem nic z tym zrobić. Nie byłem już człowiekiem, który mieszałby w czyimś życiu. Zmieniłem się o sto osiemdziesiąt stopni.

Po kilkunastu długich minutach rozstawiłem i zapaliłem świeczki tak, by w miarę dobrze oświetlały pomieszczenie. Wyglądało to, jakbyśmy właśnie byli na jakiejś zaszranej randce. Na myśl o tym, że w podobny sposób wyglądała ta pierwsza, na którą ją zabrałem, zrobiło mi się cholernie smutno.

Wstała z miejsca. Obciągnęła krótką spódniczkę i odchrząknęła:

– Lepiej, jak już sobie pójdę.

Uniosłem brew.

– Niby gdzie pójdziesz?

– Do domu.

Przetarłem twarz dłońmi. Zatrzymałem je na policzkach i spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– Czy ty widzisz, co się dzieje na zewnątrz? Szaleje burza śnieżna, a w budynku wysiadł prąd. Jak masz zamiar stąd wyjść? – Ugryzłem się w język, zanim dodałem na końcu słowo „jelonku”.

Nie mogłem już tak do niej mówić.

Zerknęła w stronę przeszklonej ściany apartamentu. Rozciągał się za nią widok na jezioro i niewielką część miasta. W większości budynków nie paliły się światła, co mogło oznaczać, że awaria była poważniejsza, niż się wydawało.

– Drzwiami – odparła w końcu. Schowała swoje rzeczy do torebki, po czym zarzuciła ją na ramię. – Wyjdę stąd drzwiami.

W mojej piersi zawibrował śmiech. Pierwszy raz od dwóch lat szczerzy, niewymuszony. Powinienem być cholernie zasmucony faktem, że wolała wyjść na zamieć śnieżną, niż spędzić ze mną kilka godzin, zanim bezpiecznie wróci do domu. Tymczasem jej upór mnie rozbawił.

– Powodzenia. – Rzuciłem się na kanapę, rozłożyłem ramiona na jej oparciu. Kostkę jednej nogi ułożyłem na udzie drugiej. – Chętnie popatrzę, jak próbujesz to zrobić.

Mimiką wyrażała swoje zdenerwowanie. Marszczyła nos, co oznaczało tylko jedno – wpadała w wir nadmiernego myślenia. Zapewne analizowała zaistniałą sytuację. Albo zaczynała panikować.

Mimo to wyszła na korytarz. Nawet nie zamknęła za sobą drzwi do apartamentu. Powstrzymałem się przed wrednym komentarzem, że moje mieszkanie to nie obora, mogła je domknąć. Takie rzeczy robi się odruchowo. Poza tym, do cholery, tego nakazywała kultura.

Podeszła do windy i byłem pewien, że przyłożyła kartę, którą dostała od ochroniarza na wejściu. Zniknęła mi w ciemnościach, więc nie widziałem, co działo się dalej, ale nie było szans, aby dźwig osobowy przyjechał. Wypchałem policzek językiem, żeby znów się nie roześmiać. Ewidentnie chciała ode mnie uciec.

Rozbawienie odeszło w zapomnienie, kiedy usłyszałem głośne uderzenia w stalowe drzwi. Zerwałem się z miejsca i podbiegłem w stronę, z której dochodziły. Stałem między nią a zamkniętym wejściem do windy. Przyjąłem cios w brzuch. Niezbyt mocny, ale i tak dobrze go odczułem.

Usłyszałem głośny oddech Bambi.

Spuściłem głowę na wysokość jej twarzy.

– To było głupie – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. – Chcesz sobie zrobić, kurwa, krzywdę?

Tym razem to ona nie odpowiedziała. Wzięłem głęboki wdech. Powiniennem jej teraz powiedzieć, że istnieje coś takiego jak klatka schodowa. Wiedziałem jednak, że uciekłyby ode mnie w mgnieniu oka, a ja... nie byłem na to jeszcze gotowy. Poza tym światła nie działały i mogła na przykład spaść ze schodka i skręcić kostkę. Tak, to wydawało się dobrą wymówką.

– Wróćmy do mojego apartamentu – zaproponowałem cicho. – Za jakiś czas powinni włączyć zapasowe generatory prądu i wtedy się stąd wydostaniesz, dobrze?

Cisza.

Westchnąłem ciężko i zrobiłem coś, czego nie powinienem. Splotłem swoje place z jej. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy poczułem, jak bardzo zimne były. Zacieśniłem ucisk i pociągnąłem Bambi w stronę mieszkania. Puściłem dopiero, gdy przekroczyliśmy próg.

– Usiądź. Dam ci jakiś koc do ogrzania.

Nie wiedziałem, w jaki sposób się zachować. Na pewno w grę nie wchodziło robienie sobie złudnej nadziei, że jeszcze coś może między nami być. Przypominał mi o tym ten cholerny pierścionek, do którego co rusz powracałem spojrzeniem.

Bez słowa wykonała moje polecenie. Rzuciła torbę u swych stóp. Zajęła miejsce na kanapie. Wyglądała na całkowicie zrezygnowaną, a ja nie mogłem jej winić. Sam nie miałem pojęcia, czy chciałbym zostać zamknięty w jednym miejscu z osobą, która złamała moje serce. I to w tak okrutny sposób.

Poszedłem na górę do sypialni. Zdjąłem koc z łóżka, po czym wróciłem na dół. Podałem go Bambi. Owinęła się nim szczelnie, przysłaniając widok na odziane w kabaretki uda.

Ostrożnie zająłem miejsce obok. Zostawiłem między nami trochę przestrzeni.

Przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się przed siebie. Po kilku minutach zacząłem jednak nerwowo podrygiwać nogą. Napięcie w moim ciele wzrastało.

Już raz popsulem naszą relację. Nie mogłem pozwolić jej wyjść ze swojego mieszkania, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy. To była moja szansa, żeby *naprawdę* uzyskać przebaczenie.

– To porozmawiamy, jak na dorosłych ludzi przystało, czy będziemy dalej gapić się w ścianę?